

# GONIMET

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 3 (15) Lutego 1877 r.

N<sup>o</sup>. 7.



Fotodruk J. Dulkiwicza.

Rakiewiczowa.



## RAKIEWICZOWA.

Z tragedią na scenie naszej spotykamy się tak rzadko, że doprawdy, sam obrachunek z siłami, któremi ona rozporządzać mogła, jest prawie niepodobny. Są one też wistocie bardzo szczupłe, co może powoduje zaniedbanie sztuk tak podniosłego znaczenia, a nawet „Marya Stuart“ leży odlogiem w bibliotece teatralnej, owa „Marya Stuart“ która tylekroć ze sceny warszawskiej rozsięwała wrażenia głęńskie i szlachetne.

W obrachunku z siłami, o których mowa, na pierwszy plan wysuwa się postać sympatyczna artystki, zrodzonej jakby wyłącznie do tragedii. Postawa wspaniała, głos silny, dźwięczny a pełny owego brzmienia altowego, które się tak doskonale nadaje do objawów wielkich i tragicznych wzruszeń — niepospolita szlachetność ruchów, uczucie silnie wyrażające się w mowie i całej postawie, a nade wszystko owo poważne a nawskróś przejmujące i odgadujące ujmowanie danej postaci — oto pierwszorzędne zalety Rakiewiczowej.

Wszystko to, co te zalety stanowi, co się składa na całość wysokiej artystycznej wartości — publika nierzadko podziwiała w ulubionej artystce, gdy ta, jako „Marya Stuart“, piorunowemi słowy budziła grozę tragiczną wśród słuchaczy.

Podziwiać należało coś więcej jeszcze: a mianowicie całą swobodę gry, nie afektowanej do wysokości koturnu, nie nastrojanej sztucznie, ale płynącej z niezmaconego nigdy źródła prawdy i natury. Tajemnica tej gry spoczywa właśnie w warunkach, jakim czyni zadosyć zewnętrzna postać i wewnętrzne usposobienie artystki. Nie potrzebuje ona ani w głosie, ani w rysach twarzy, ani w postawie i ruchach dociągać się do skali tragicznej; posiada to wszystko w stopniu odpowiednim i materiałem tym potrzebuje tylko umiejętnie władać, aby cel artystyczny osiągnąć.

Działalność Rakiewiczowej, w ostatnich czasach dosyć szczupła, obecnie obiecuje się wzmódz i ożywić. Jej występ w komedjach, jakkolwiek noszące na sobie cechę nawskróś artystyczną, są najmniej dla niej właściwe. Skrzydła jej podniosłego talentu potrzebują wiele przestrzeni, aby się rozwinęły swobodnie w całej pełni; w komedji jej zaciasno, zaduszno. Ona potrzebuje wielkich wzruszeń, gorących porywów, piorunowych boleści — owych wykrzyków grozy i trwogi tragicznej, które przejmują duszę słuchacza i wstrząsają jego sercem aż do ostatniej fibry.

W Rakiewiczowej scena nasza posiada artystkę pierwszorzędną — materiał doniosłego znaczenia — a przecież z materiału tego korzystać odpowiednio nie potrafi. Dzieje się to ze szkodą sztuki i publiczności, która ulubioną artystkę, przed ukazaniem się na scenie, zarówno jak na estradzie koncertowej, wita zawsze przeciągłemi oklaskami. Pamiętamy zeszłoroczny koncert Rakiewiczowej... był to tryumfalny dzień artystki, która miała sposobność przekonać się, że przymusowa bezczynność nie studzi w sercach ogółu sympatii dla jej talentu. Powinno to być wskazówką i dla naszej reżyserji.

## BUKIECIK FIJOŁKÓW.

NOVELLA.

(Dalszy ciąg).

Pani Helena, zatopiona w bolesnej zadumie, siedziała bez ruchu od półgodziny na kozecie, gdy znowu portyera drzwi wchodowych poruszyła się i z po za jej fałdów zjawiła do buduaru twarz niewieścia.

Szelest grubej materji zbudził z dumania Helenę. Odwróciła twarz ku drzwiom i spytała:

— Kto tam?..

— To ja, proszę pani — odpowiedziano. — Przyszedł pan Zawicki i prosi o pozwolenie widzenia się z panią.

Helena drgnęła. Podniosła się z wolna z pościelanej postawy, przetarła czoło rozpaloną dłonią, ale... milczała.

— Proszę pani... co mam odpowiedzieć?..

Piękna kobieta miała już na ustach „nie“, lecz przy-  
padkiem oczy jej zwróciły się na pudełko z brylantami; na twarzy zapalił się rumieniec, ona wstała szybko i rzekła:

— Proś.

Kotara zapadła a twarz niewieścia znikła.

Pani Helena tymczasem, oczekując zapowiedzianego gościa, zdradzała pewne zaniepokojenie.

— Tak dawno — szepnęła — tak już dawno!..

Potem — o niewieścia roztropności — poprawiła włosów szybkim ruchem, spojrzała przelotnie w zwierciadło i usiadła znowu. Patrzyła na kotarę, jakby lękała się jej drgnięcia, szepcząc znowu:

— Co on powie?... A to już tak dawno... i może już zapomniał!..

Któż był ten pan Zawicki, ten gość, który z ust pięknej kobiety wrywał te zagadkowe szeptu? Co znaczą te wyrazy: tak dawno — które ona po trzykroć powtórzyła?..

Pan Zawicki był niegdyś towarzyszem jej lat dziecięcych i dziecięcych igraszek. Ubogi chłopiec, wychowywany z laski przez ojca Heleny, brat prawie... i... pierwsza miłość podlotka!.. Ona niegdyś domyślała się, że była jego bóstwem, o którym marzył i któremu raz w życiu dał to tylko do zrozumienia. Śmiała się wówczas z niego... ale teraz, gdy to wszystko żyje już tylko we wspomnieniach, przestało to być śmiesznem. Sielanka młodości, prosta, szczerą, niewinna, przyobiekła wszystkie kształty cudnego poematu.

Nie widzieli się dawno, bardzo dawno.

Ona miała lat szesnaście, gdy on, jako student uniwersytetu, wyjechał na obczyznę. Od tego czasu nie pokazał się więcej. Okoliczności zmuszały go do stałego pobytu za granicą. Raz tylko Helena usłyszała jego nazwisko, wspomniane zaszczytnie. Zawicki własną pracą dobił się stanowiska, a zdolnościami i pocziwym trudem sławy.

Helena, w oczekiwaniu na przybyłego, budziła w duszy wspomnienia, oddawna już uspięne. Dziwna rzecz!.. w tej chwili wystąpiły one z całą barwą niezatartej świeżości i unosily się w atmosferze błogięj, miłej nad wyraz. Urok młodości dziewiczej splątał się z niemi bratnio, silnie, nierozzerwanie. Ale Helena nie miała czasu uroków rozdzielać i klasyfikować, i to, co z nich spłynęło na nią, otoczyło też i oczekiwaną postać z dalekiej przyszłości.

W tej chwili Zawicki wszedł.

Nigdyby go nie poznała!.. Alboż ten piękny, okazały postawy mężczyzna, który przed nią stanął, może mieć coś wspólnego z owym wysmukłym, szczupłym studentem, którego rysy dobrze zapamiętała? To niepodobna!.. Powaga myśli i czynu na twarzy jego wyznaczyły to szlachetne piętno, które noszą tylko rysy ludzi wybranych. Spojrzenie jego, łagodne i głębokie, zachowało drobniutki odblask z przeszłości, coś, co przykuwało do ich spojrzenia pamięć dni minionych. Helena patrzyła nań, jakby sprawdzając w nim tożsamość osoby...

— Pani mnie nie pamięta — rzekł z lekkim ukłonem i jakby z wymówką w głosie.

— I owszem — odpowiedziała, podając mu dłoń ruchem szczerym, swobodnym — pamiętam... lecz inaczej!

— Zmieniłem się. Tyle to już lat!.. Wchodząc tu, nie marzyłem ani na chwilę, iż powitany będę jak znajomy... ale wejść tutaj było dla mnie koniecznością. Od lat dwunastu jestem w kraju po raz pierwszy. Wszystko co widzę, co spotykam, jest echem mojej przeszłości. Ścigam to echo, zawiązuje węzły nanowo, szukam nitek, które wypuściłem z dłoni... Cóż dziwnego, że szukam ich i tutaj.

Głos jego był dziwnie harmonijny. Helena dosłyszała w nim dźwięku uczucia, wrywającego się w drżeniu, nad którym mówiący nie usiłował zapanować. Roz-



mowa jednak była drażliwą. Zawicki szukał nitek, wiążących go z przeszłością... i szukał ich tutaj! A przecież, odnośnie do nich, przeszłość ta była miłosną sielanką!

Helena milczała; czuła że nie godzi się rzucić odpowiedzi zdawkowej, a inna... byłaby niebezpieczną. Rozmowa stanęła odrazu na gruncie tak chwiejnym, że do wcip kobięcy uczuł się zbyt słabym, aby trudności śmiało czoła nadstawić.

— Zresztą... i głos uczucia tu mnie prowadził. Wiedza, stonowisko... wszystko co mi dało zdrowie myśli i czynu, wszystko co mnie uczynić miało człowiekiem... zawdzięczać ojcu pani. Gdy on w grobie spoczął, godzi się nieść podziękę tej, która mu była najbliższa... Przyszedłszy tu, spełniam obowiązek...

Helena czuła że należy przemówić. Wskazała mu przeto krzesło i siadłszy sama, rzekła:

— Wdzięczności zatem pańskiej zawdzięczyć mam, że pana widzę. Jeżeli tak, to obowiązek pański, musi być dosyć przykrym. Przykrą wogóle bywa podobno i wdzięczność sama!

On spojrział na nią badawczo, a potem rzekł:

— Pani żartuje. Wdzięczność sama... to wiele, ale nie wszystko. Jeżeli bywa istotnie przykrą, to tym razem dzieje się inaczej. Z wdzięcznością spótem idzie siła wspomnień, a te... przykre mi nie są.

Helena spuściła twarz... zarumienioną, poprawiając fałdów sukni.

— Byłem zawsze sam, samotny, bez uniesień serdecznych, bez tych promiennych chwil, które przyświecają radośnie życiu innych... nic więc dziwnego, że wspomnienia nabrały dla mnie wartości takiej, jak troskliwie strzeżone skarby dla skąpca. Zdziwiłoby to panią zapewne, gdybym począł snuć złotą ich nitkę, tak prostą, tak skromną, a mimo to tak uroczą. Jestem pewny że pamięć moja nie uroniła ani jednego szczegółu... wszystko w duszy mojej żyje w pełni takiej, iż mi starczyło zawsze za rzeczywistość...

Helena słuchała mowy Zawickiego z pewną trwogą. Jego otwartość dziwiła ją i niepokoiła; wszakże on mówił o tém, co już dzisiaj spocząć było winno w grobie wiekustego zapomnienia. Ha!.. a nadto, to słówko niewinne: *rzeczywistość*, które w rozmowie z mężem okazało się fałszem, obłudą i kłamstwem, w ustach jego nabrało w tej chwili dziwnego znaczenia.

Piękna kobieta w obecnym nastroju duszy była prawie bezsilną wobec trwożących ją oddźwięków. Ten człowiek, który budził w jej umyśle wspomnienia zarazem i niepokój, nie wiedząc sam o tém, mógłby wyrzucić na nią taki wpływ, jakiby zechciał. Nie przeczuwał też zapewne, że urok wspomnień jego w całej swój sile był urokiem i dla Heleny.

Ona milczała z pochyloną głową, on zaś mówił dalej:

— Zdziwi to panią zapewne, gdy powiem, że porzucając kraj na tak długo, nie pozostawiłem tu ani jednego przyjaciela, ani jednego przyjaznego serca. Poszedłem w świat sam, nie mając komu spowiadać się z serdecznych wzruszeń i porywów młodości... I... zdawało mi się tylko, że pani jedna...

W tej chwili zatrzymał się i spojrział na nią wzrokiem pytającym.

— Tak to było dawno!... Dzisiaj — rozważa dojrzałego umysłu szepce mi: mogłeś pobłądzić... Ten szepce może być prawdziwym... Tém gorzej dla mnie. W kraju, u siebie, jestem może jak na puszczy...

Helena zmieszała się na dobre. Serce jej biło gwałtownie, a jeżeli wspomnienia ustąpiły z jej myśli, to tylko pod siłą obecnej rzeczywistości.

— Pamiętasz pani... — rzekł dalej i urwał.

Ona wstała. Ruchy jej były niepewne, nerwowe. Zbliżyła się znowu do bukiecika z fijołkami i bawiąc się nim machinalnie, mówiła:

— To co żyło dawniej, zamarło już... Wspomnienia wiją niekiedy ludzając blaskami nitkę, ale... Więc pan na prawdę nie miałeś nigdy przyjaciela?...

— Nigdy, pani.

— To smutne!

— Tak, to smutne. I dlatego to właśnie z taką odwagą i... natarczywością prawie przychodzę upomnieć się o słowo przyjazne u pani. Przypominam sobie, że raz, gdy niedorostek krnąbrny zawinił, gdy mu zagrożono surową karą, słodka dziewczeczka ze łzami błagała ojca o przebaczenie dla niego. Później, gdy odjeżdżał na długą rozłąkę, dorastająca panienka, z pożegnaniem, z łzą życzliwości... obdarzyła mnie poetycznym podarkiem — wianką fijołków... A potem jeszcze...

— Pamiętasz pan tyle rzeczy — przerwała mu pośpiesznie Helena, widocznie lękając się dalszych wspomnień — kiedy tymczasem... to już tak dawno!

— To prawda — i tyle już zmian zaszło!

— Słodka dziewczeczka, jak się pan wyraziłeś łaskawie, dorasta na pannę, krnąbrny niedorostek na młodzieńca o śmiałych i bujnych nadziejach. Każde z nich poszło swoją drogą: on — do czynu i zasługi — ona... zwykłą koleją: za mąż.

— Do szczęścia — dokończył.

— Do.. rzeczywistości — rzekła z nieukrytą goryczą.

On spojrział na nią badawczo.

— Pani musisz być szczęśliwą — odezwał się przekonująco i poważnie.

— Na jakiej zasadzie to pan twierdzi?...

— Na zasadzie znajomości charakteru pani.

— Czy go pan znasz tak dobrze... ze wspomnień?... spytała z bladym uśmiechem.

— Tak.

— A jednak mógł on się zmienić.

— Nigdy aż tak, żeby nie dążył do tego co szlachetne, dobre i piękne.

— O!... to komplement.

— Nie — to przekonanie.

— Dziękuję!

— Nie dziękuj pani. To przekonanie.. miało dla mnie wartość zasady życia. Pewnego razu zbłądziłem... a byłem wówczas osiemnastoletnim młodzieńcem. Kiedy ojciec pani rzucił mi poniżającą obelgę, tyś rzekła potem: „opamiętaj się — błędząc, popełniłeś szaleństwo... ale to na ciebie zawstrętne i zanizkie“. Te dwa słówka... tak drobne, tak mało na pozór znaczące — zrobiły ze mnie człowieka.

Bukiecik fijołków w tej chwili w rękach Heleny przechodził istne tortury. Nie było to już skutkiem pomieszanania, ale... wzruszenia.

— Później — mówił dalej Zawicki — pomnąc te słowa pani, szukałem tylko takich rzeczy, które niebyły wstrętne i nizkie... nie dla mnie, ale dla ciebie. Było mi z tém tak dobrze!

Zamilkł i zadumał się.

Helena była zamyślona także. Wspomnienia znowu tłoczyły się do jej głowy. Porównywała je z teraźniejszością i z tego porównania Zawicki wyszedł najlepiej. I oto przypominały jej się słowa „pani musisz być szczęśliwą.“ O ironio!... Jakże się on mylił! Szczęśliwą!... A ten list, różowy, woniejący, do jakiejś panny Hortensyi, która wzgardziła brylantami, a przecież nie gardzi cudzym mężem. I to się nazywa być szczęśliwą!

Spojrzała na Zawickiego i spotkała się z jego wzrokiem. Sprawilo to w jej duszy wstrząśnienie, które wywołało na twarzy rumieniec. Chciała przemówić... ale o czémże mówić miała?...

Zawicki tymczasem wstał i podszedł ku niej.

— Przyszło mi na myśl w tej chwili, że moja wizyta obecna dziwną się pani wydawać musi. Tak — bardzo dziwną. A jednak wszystko to com powiedział... wyrwało się z przepelnionej uczuciem piersi. Stałem wobec tego, co było blaskiem wielu dni i lat... czyż więc być inaczej może?... Daruj mi pani. Jutro wyjeżdżam z kraju... znowu na długo, a może i na zawsze. Obcy tu prawie — cóż dziwnego że zapragnąłem uwieźć ze sobą choć jedno przyjazne słowo, jedną serdeczną pamiątkę, któraby mi szeptala wciąż, iż jest talizmanem świętym z krainy rodzinnej... Widzi pani że takie słowo ma dla mnie znaczenie bardzo poważne.

Spojrzała na jego twarz, szlachetną, ożywioną. Mó-



wił zupełną prawdę. Niepodobna było przypuszczać ani na chwilę jakiejś romantycznej igraszki.

— To słowo... przyjazne — rzekła śmiejąc — niech ono panu towarzyszy wszędzie i zawsze. Powiedziałeś pan, że niepozostawiasz nikogo, ktoby życzliwem towarzyszył ci wspomnieniem tam daleko, gdzie znowu będziesz wśród obcych. Tak źle nie jest: z życzliwą radością znajdować będą zaszczytne wzmianki o panu... i błogosławić szlachetnej pracy.

(D. n.)

## TEATR.

„Złe ziarno.“ komedia w 3-ch aktach, Kazimierza Zalewskiego.

Najistotniejszej prawdy chciał dowieść autor „Złego ziarna.“ Prawda ta nawet dała pochop fantazji ludowej do utworzenia kilku maksym, przysłów, a może i przypowieści, a da się zawrzeć w sentencji bardzo trafnej, iż „jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi.“

Boguszowi, gdy jeszcze przez doświadczenie życia szanować się go nie nauczył, przyszło na myśl że dobrze by było, aby mu to życie szło jak po maśle. W tym celu rozkochał w sobie Amelią, jeszcze za życia jej męża, krojąc na jej piękną fortunę, a gdy owdowiała, poślubił. Nieuczciwy romans i partya dla pieniędzy — oto „złe ziarno“, którego plon wykazuje komedia.

Plon przewidziany. Boguszowi życie nie poszło, jak po maśle. Kajdany własnego związku zaciężyły mu rychło, a zdobyty w sposób niegodny majątek posłużył tylko za podatny materiał do rozpusty, pohulanek, szulerki... w następstwie zaś moralnym do zgryzoty, nudów i niepokojów wewnętrznych. Sprzedawszy się pierwój dobrowolnie — teraz Bogusz przeklina swą niewolę, pragnie swobody i niechęć dla Amelii objawia jawnie, z całą niewdzięcznością znikczemniałej duszy.

Potrzeba było jeszcze gromu, który go razi w serce, w to gniazdo os, co się namiętnościami zowią. Oto Bogusz, ujrawszy niewidzianą od jej dziecięctwa pasierbicę, rozszalał dla niej w grzesznej miłości. Marya ma jednak ukochanego, którym jest Zbrodzki. Domyśla się tego jej ojczym, szuka z nim zwady, potem wyzywa i postanawia go zabić. Niecne zamiary... lecz staje im w poprzek stary wojak Godziemba, który wyrzuca Boguszowi w żywe oczy podłość, brak poczucia honoru, dawne grzechy... Ha!... a więc stanie się inaczej! Bogusz cofa myśl morderstwa i chce umrzeć sam, z własnej dłoni. Już ją ściąga na siebie... gdy zjawia się Marya z jego synkiem. Widok dziecka rozbiera go... On czuje że żyć powinien. Wszystko go wprawdzie zawiodło, lecz mu nie wolno zawodzić obojczyków. Życie będzie dla syna!

W szczegóły treści nie mamy miejsca wdawać się; poprzestajemy na przytoczeniu jej w krótkości jaknajmogliwszej. Godzi się jednakże wspomnieć, że obok tego głównego, zasadniczego wątku sztuki, wybiegają zeń i różne uboczne gałązki, nie bez interesu dla widzów.

Oto np. około Bogusza grupuje się czwórka ludzi pokroju komicznego, ale zarazem i wstrętnych, przez głupotę, sobkostwo, próżniactwo, wyrachowanie i t. p. Tacy jak Bogusz, w takim jak on stanie moralnym, miętawą zawsze otoczenie podobne. Gdzież szukać idiotów, darmozjadów, rozpustników — jeżeli nie tam, kędy się knują planiki łatwego życia bez pracy, fortuny bez dorobku, ożenku bez miłości?... Grupa ta towarzyszy Boguszowych stanowi balast komiczny w sztuce, która też, gwoli temu balastowi, nosi miano komedii, naszym zdaniem niekoniecznie właściwie, jak to zresztą widać z treści.

Sztuka p. Zalewskiego posiada wszystkie cechy roboty umiejętniej, troskliwej, i owę świadomości siły, która potrafi się powściągać gdy należy, nie szarpie się, nie słabnie i do gorączki nie porywa. I owszem, gdyby przyszło zarzucić coś autorowi „Złego ziarna“, to raczej zbyt-

nią kunsztowność, mianowicie w wyborniej, ale nader drobnotkowej charakterystyce owych postaci komicznych. Postacie to drugorzędne, mimo to postawione na planie zbyt wydatnym... czego przyczyny szukać należy w naturze kierunku działalności p. Zalewskiego. W komedii jest on bardziej u siebie, to więc, co ściśle do komedii należy, absorbuje jego baczność i siły przeważnie.

Trzęść „Złego ziarna“ nie jest bynajmniej zawikłaną; podąża ona swobodnie, nie przewijając się po zaułkach i zakamarkach sztucznie zbudowanych. Jest to, naszym zdaniem, zaleta pierwszorzędna. Tu i owdzie widoczne, a niezamaskowane dowcipnemi pozorami efekta... niewiele ich wprawdzie — są przecież, choć łatwo przyszyłoby się bez nich obyć. Do takich efektów zaliczyć można np. przesadną charakterystykę Fajtaszki, który wydaje się postacią żyjącą na to tylko w sztuce, aby dowieść, iż podobnej w życiu nikt nie znajdzie.

Do zalet też „Złego ziarna“ należą sceniczność i wzmagające się natężenie sztuki z jej postępem. Akt trzeci, posiadając kilka ustępów istotnej piękności, czyni silne wrażenie. Wrażenie to było silne i dla nas, choć przyznamy się że wprowadzanie na scenę dzieci, a tém bardziej w chwilach sztuki stanowczych, przypomina nam zawsze maszyneryą zakulisową i biednego reżysera w trwodze o możliwe zawikłania przed oczyma publiczności.

„Złe ziarno“ było obsadzone przez siły najlepsze sceny naszej, grane więc po mistrzowsku. Rakiewiczowa, Deryng, Zółkowski, Królikowski, Tatarkiewicz, Leszczyński, Szymanowski... doprawdy, toż to komplet wirtuozów scenicznych, którzy odrazu wstępnym bojem biorą pozycję. To też całość szła jak z płatka i ani jedna piękna scena, a nawet myśl pojedyncza, nie przeszła bez dobitnego echa w publiczności.

Sł. M. Rz.

## FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE,

ZOFII MELLEROWEJ.

(Ciąg dalszy).

FILIP. Rejent, podsądek i dwóch obywatelów wstąpili tylko do handelku, by nieco odwilżyć gardła, zaschłe od kurzu warszawskiego. Za chwilę tu przybędą.

LEONORA. O cóż chodzi?

FILIP. Zamierzają założyć u nas szkołę rzemieślniczą dla chłopców i dziewcząt, a że dotąd nie zebrano potrzebnego funduszu, więc pragną zapomocą odczytów dopełnić...

LUBIN. Aha, zatem odczytów chce im się odemnie?

FILIP. Pochodzisz z tamtych stron... przytém bliżuteńko, ośmnaście milek, przyślą konie.

LUBIN. Kawał drogi! zadaleko.

LEONORA. Ja łączę się z deputacją; zdolnych rzemieślników dotkliwy brak w kraju.

LUBIN (do Filipa). Udaj się do kogo innego. Utylitarizm nie moja rzecz. Jam piewca.

LEONORA. Niemniej przeto obywatelem swojego kraju.

LUBIN. Więc cóż ztąd? Jestże to powód bym na podobieństwo jakiego spleśniałego móla plótł rozdziawionej tłuszczy ambaje o jakichś tam komórkach, atomach, kręgosłupach, ozonie, wodorze i t. p. pośpolitościach! Poety inne jest zadanie... po nad ziemią myśl jego ułata, wszechświat jego ojczyzną, braćmi: duchy nieśmiertelne, księgą: gwiazdy, zajęciem: rozpamiętywanie Boga w Jego tworach!

LEONORA. Jaktó! toż niedawno (n. s.) komedyant!

FILIP. No, rozumie się, że mając tak wysokie zatrudnienia, szkoła rzemieślnicza wydaje ci się marnościami nad marnościami.



ŁUBIN. Poety nie mierzcie zwykłą ludzką stopą *pożytkiem*. Między ludźmi jak w państwie zwierząt i woły roboczy i orły się mieszczą... komuż wiadomy cel istnienia orla?...

FILIP. Więc piejże sobie zdrów i sam rozprawiaj się z nimi (*chce odejść*).

ŁUBIN. Ani myślę, powiedz że mię niema w domu. (*Filip odchodzi*). Uciekam.

O jasno włosy  
Córo Heljosa (*zmka z lewej*).

## SCENA XIII.

LEONORA *potem* JANOWA.

LEONORA. Co się dzieje ze mną... I cóżem ja pokochała w tym człowieku, co?... Potok szumnych frazesów i bujne kruczony włosy przy bladym licu! o wstydziel... Szlachetności, charakteru w nim ani cienia, a cóż wart człowiek bez charakteru?... nic — gorzej niż nic, bo obdarzony wpływem, kierującym opinią, to zbrodniarz prawie... ileż on obłąka umysłów, ile spaczy sumień!... I jam go pokochała! i dla niego porzuciłam męża, dom, dziecko, czyste imię! Ah, nie wiem, płakać mam czy uragać własnej głupocie... (*śmieje się z bolesną ironią*) ha, ha, ha!... Równasz się z orłem, udajesz natchnionego wieszczka, jak gdyby jedynie gładki rym stanowił poetę... Brak ci duszy podniosłej, a bez niej każdy z was to tylko pajac, zabawiający gawiedź, zręczny kuglarz, nic więcej (*wbiega Janowa mocno zmieszana*).

JANOWA. Pani, pani!

LEONORA. Cóż tam?

JANOWA. A co nie zgadłam? przyszedł!

LEONORA. Kto?

JANOWA. Pan—pan Ksawery.

LEONORA. Co! co!

JANOWA. Chce się z panią widzieć...

LEONORA. Ależ to niepodobna... ja... ja... nie mogę, nie powinnam.

JANOWA. Ma bardzo ważny interes.

LEONORA. Boże!... mąż jest w domu.

JANOWA. Et, pewno śpi (*zagląda przez dziurkę od klucza*). A jużci, leży na sofie, z papierosem w zębach.

LEONORA. Nie mogę.

JANOWA. Toż na chwilę, interes ma ważny.

LEONORA. Ha... więc prosz. (*Janowa odchodzi*). Nogi drżą podemną (*wchodzi Ksawery*).

## SCENA XIV.

LEONORA, KSAWERY.

(*Mocno zmieszani i zakłopotani obydwójce. Ksawery próbował parę razy przemówić i zawsze wyraził zamarty na ustach.— Leonora z niepokojem ogląda się na pokój męża, nieśmiało wskazując na krzesło. Ksawery usiadł*)

LEONORA (*po długiej pauzie*). Nasze schody... schody tutejsze, męczą ogromnie...

KSAWERY. W istocie (*milczenie—ogląda się*).

LEONORA. Pan szuka czego?

KSAWERY. Upatruję wody.

LEONORA (*szybko powstając*). Oto jest. (*Ksawery bierze od niej szklankę drżącą ręką*). Czyś pan słaby?... Zbladłeś strasznie!

KSAWERY. Chwilowe strudzenie... to przejdzie. (*siadają—znów milczenie*).

LEONORA (*po pauzie*). Pan...

KSAWERY. Ja tu z prośbą.

LEONORA. O mów pan, mów!

KSAWERY. Wybieram się w podróż.

LEONORA. Dokąd? na długo?

KSAWERY. Na lat kilka, może dłużej.

LEONORA. Co! co! ależ pan się zatęskni! Pan, tak wyjątkowo przywiązany do swojej ziemi! Cóż powodem?

KSAWERY (*z ciężkim westchnieniem*). Oh!... (*po pauzie*). Jadę na wschód w interesie kolei żelaznych. Mój dyrektor szukał ochotnika, oświadczyłem się z gotowością.

LEONORA. Dlaczego?

KSAWERY. Ha, cóż robić!... Gdziebądź, byle dojechać do końca... Lecz ja mam prośbę do pani.

LEONORA. O, słucham.

KSAWERY (*dobytując z kieszeni dużą kopertę zapieczętowaną*). Pragnąłbym zobaczyć Ewunię.

LEONORA. Ah, na nieszczęście wysłałam ją na parę tygodni na wieś do ciotki.

KSAWERY. Więc ję już nie zobaczę... Wyjeżdżam jutro.

LEONORA. Jutro!

KSAWERY. Owóż prośba moja taka: Ewuni pora zacząć nauki...

LEONORA. Żebyś pan wiedział jak ona pisze! Oto list od niej.

KSAWERY (*chwytając podany papier*). List! o córko moja! (*caluje list ze wzruszeniem*). List do matki!

LEONORA. Ojca kochać nie zapomniała, przeczytaj pan...

KSAWERY (*szybko przebiega pismo rozrzucony*). Daruj mi pani tę ćwiarteczkę... na pamiątkę... Oddałam się na długo, może na zawsze, może już was... (*poprawia się*) już ję nie zobaczę nigdy... nigdy!... (*usiłuje stłumić wzruszenie*). Dziecko moje ukochane... (*przyciska do ust pismo*) żegnaj jedyne serce na świecie... moje! (*odwrócony od Leonory ociera łzę ukradkiem*).

LEONORA (*z współczuciem*). Panie...

KSAWERY (*chowając list Ewuni z wysileniem*). Chwilowe wzruszenie... niespodzianka... ten list... przepraszam... to przejdzie... (*po pewnym uspokojeniu się*) Owóż, pora nauk Ewuni nadchodzi... pragnąłbym, by otrzymała ukształcenie gruntowne, specjalne, któreby zapewniało utrzymanie... nie chcę bowiem by i ona, jak większość naszych kobiet, wyszła za mąż *dla chleba*. Ślubować należy z miłości, lub nie łączyć się wcale... (*silnie*) Nieprawdaż pani? wszak podzielasz moje przekonanie? (*groźnie*) bo inaczej zawięła sobie i komuś przyczynia się cierpień... zawodów... rozpaczy!... dowód na nas.

LEONORA. To zniewaga! jam przecie nie dla chleba żoną twoją została!

KSAWERY. To już między Bogiem a panią!... Lecz ja nie przyszedłem tu z wyrzutami... daruj, myślałem, że spokojniejszy... (*po chwili*). Owóż, w tym pularesie znajduje się potrzebna summa na ję edukację oraz utrzymanie — racz pani przyjąć!...

LEONORA (*odsuwając pulares*). Ję utrzymanie należy do mnie.

KSAWERY. Pani nie posiadasz własnego majątku (*z uniesieniem*) a ja nie chcę, słyszysz pani, nie chcę, żeby moje dziecko przyjmowało cobądź od obcego człowieka! Sądzę, że mam prawo żądać tego i żądam.

LEONORA. Oh!

KSAWERY. Tu mieści się trzy tysiące rubli, otrzymane tytułem honorarjum za wyjazd.

LEONORA. Więc pan się zaprzedałeś!... Ten wyjazd, to twoja niewola!

KSAWERY. Ale niepodległość dla mojej córki.

LEONORA. To zawiękie poświęcenie.

KSAWERY. To powinność ojca względem dziecka. Zresztą znalazłaby się może inna jeszcze przyczyna.

LEONORA (*z goryczą*). Zgaduję — by jak najdalej odsunąć się odemnie.

KSAWERY. To już przy mnie pozostanie. Lecz odbiegamy od przedmiotu. Oto nominacja na posadę po mnie dla... pana Łubina.

LEONORA. Jaktó! co?

KSAWERY. O ile przypominam sobie, nie posiada stałej pensji... Ponieważ zaś dyrektor zdał na mnie wybór zastępcy, zatem...

LEONORA. Nie możemy przyjąć tój ofiary!

KSAWERY. Ofiara żadna. Wyjeżdżam, a ktobądź zajmie opuszczone przezemnie miejsce, p. Józef, Antoni czy Łubin, to mi obojętne.

LEONORA. Pan mnie zabijasz swoją szlachetnością.

KSAWERY (*wstając*). Przypomnij mi pani niekiedy Ewuni i... żegnaj (*klania się i chce odejść*).



LEONORA (*zrywając się*). W ten sposób!... o nie!.. Wszak pan mi przebaczyłeś!... wszak rozstaliśmy się zgo-  
dnie!

KSAWERY. Ja też nie czynię pani żadnych wy-  
mówek.

LEONORA. O, nie myśl pan, że jestem szczęśliwą.

KSAWERY (*z uniesieniem*). Jaktó! nie!.. (*hamując się*). To znów winno zostać pani tajemnicą. Żegnaj.

LEONORA (*urazona*). Słuszna uwaga, dziś staliśmy się obcymi dla siebie.

KSAWERY. Najzupełniej. Żegnaj panią.

LEONORA (*z wybuchem*). Ah!.. a jednak... pan mię kochałeś.

KSAWERY. Nie wskrzeszajmy przeszłości!

LEONORA. Nie umiałam jej cenić... poznaję teraz..

KSAWERY. Przestrzegałem panią.

LEONORA. Nie wierzyłam, oslepiona fałszywym blaskiem. Dziś dopiero widzę, com straciła.

KSAWERY. Nie mów mi pani rzeczy podobnych, nie zdieraj opasek z ran, niezabliźnionych dotąd!

LEONORA. Jam tak okropnie samą w świecie, w domu, w duszy! Dziś już nikt mię nie kocha!

KSAWERY (*zapominając się*). Nikt! o nie!

LEONORA (*z radością*). Nie!

KSAWERY (*oprzytomniawszy*). Ewunia.

LEONORA. O, to nie dosyć!

KSAWERY (*z nienawiścią*). On.

LEONORA. On, nie. To był szat chwilowy, go-  
rączka. Pan jeden tylko... i to już... przeszło (*łękliwie*)  
prawda, że... przeszło?

KSAWERY (*poważnie*). Odkąd pani zostałaś żoną  
innego, powinno było minąć i...

LEONORA (*z niepokojem*). I?

KSAWERY (*odwracając głowę ponuro*). I... minęło.

LEONORA. Oh!

KSAWERY. Żegnaj panią.

LEONORA (*w uniesieniu bólu*). Bywaj zdrow... mój  
mężu!

KSAWERY (*gwałtownie chwytając jej dłoń*). Ah, Leno-  
droga... (*oprzytomniawszy ucina raptem, odtrącając ją*) ko-  
bięto bez sumienia! zalotnico! precz odemnie, precz! (*szyb-  
ko wybiega głębią*).

#### SCENA XV.

LEONORA (*sama*).

Zalotnicą! ja!... oh, to zasuwowo, zasuwowo! Los  
karze mię okropnie!.. i za co? za jakąż przewinę? mój Bo-

że!.. Powiadają, że w złem, które nas spotyka, zawsze  
jest połowa własnej naszej winy... Cóżem więc ja tak  
złego zrobiła?... co?... (*po chwili*). Ha, tak, zawiniłam... za-  
winiłam bardzo, bo nie umiałam trzeźwem okiem patrzeć  
w życie, odróżniać prawdy od kłamstwa... bo byłam pło-  
cha, łatwowierna, niewdzięczna!.. Oh, ileż cierpień... i nikt  
nie użali się mój doli... nikt! nawet on, co równie jak ja  
nieszczęśliwy... co mnie tak kochał... ah, jak kochał!..  
Ksawery, przebaczenia, przebaczenia dla obłąkaniej, co nie  
była w stanie zrozumieć twego cichego, pełnego poświę-  
ceń uczucia, twój zacnej, promiennej duszy, dlatego tylko,  
że niewymowna!.. O ja szalona, szalona, szalona! (*placze  
twarz ukrywszy w dłoniach, głębią wchodzi Filip z wielkim  
bukietem, rad z siebie, uśmiechnięty*).

#### SCENA XVI.

LEONORA, FILIP.

FILIP (*nie spostrzegając siedzącej na kozetce*). Teraz  
już wiem co ona lubi; kwiaty, a potem to co i ja, poca-  
łunki, pieszczoty... niezły gust, jak babcię szanuję. (*Spo-  
strzegłszy Leonorę*). Ah, otóż ona... jak zadumana, strapio-  
na... nic dziwnego, Henryk się lampartuje... Moim obo-  
wiązkem pocieszyć opuszczoną... tylko ta nieśmiałość prze-  
kłęta... odwagi, Filipku, odwagi... audaces fortuna juvat...  
białogłowy cenią odważnych... zatem (*chrząka*) hm, hm, do  
dzieła.

LEONORA (*podnosząc głowę*). Ah, to pan...  
(*Filip z początkiem tej sceny bardzo nieśmiały, rozzu-  
chwała się stopniowo*).

FILIP (*ukrywając bukiet po za siebie*). Ośmielam się...  
czyli... to jest... przychodzę z zapytaniem, czy pani... czy  
państwo pojedą dziś do panny Ewuni?

LEONORA (*bardzo smutna*). Dziś... nie, już zbyt  
późno.

FILIP. Przy tej sposobności ośmielam się... raczej...  
może pani raczy przyjąć te (*wysuwając nagle bukiet*) parę  
kwiatków.

LEONORA (*kładzie bukiet na stole*). Dziękuję.

FILIP. Pani słaba?

LEONORA. Na migrenę.

FILIP. W takim razie, przejażdżka na świeżem po-  
wietrzu...

LEONORA. Mąż jest u siebie — może pan przeje-  
dzie...

FILIP (*po chwili*). Pani często cierpi na migrenę?

LEONORA. Bardzo.

(D. c. n)

## S P O R T.

**Wścigi.** Na rok 1878 do wścigów dla 3 latków w Austrii, za-  
pisane zostały pomiędzy innymi konie angielskie należące do pana My-  
słowskiego.

Revanche kl. gn. po Bucaneerze i Fleur de Marié.

Y. Blinkhoolie og. gn. po Blinkpoolie i Curieuse, oraz pana Ochoc-  
kiego v Złotolity ogier sk. gn. po Perle i Weatherbit.

— W numerze 5 Sportu berlińskiego czytamy ogłoszenie o koniach  
trenowanych na wścigi 1877.

a) Stajnia wścigowa do hr. Ludwika Grabowskiego należąca.

Trener M. Selkowicz.

5-cio letni Jupiter tonans ogier gniady po Pereym i Evelinie.

5 Delphina kl. kaszt. po Percym i Agnes Sorel.

5 Miss Godolphin kl. gn. po Bucaneerze i Sunbeam.

5 La Putifare kl. gn. po Bucaneerze i L'aventurière.

4 Festyn og. gn. po Pereym i Fête.

3 Druid og. kaszt. po Kattledrum i Odecie.

3 Falco og. gn. po Percym i Fête.

3 Kiejstut og. gn. po Kattledrum i Sonnambuli.

3 O' Harras og. gn. po Percym i Evelinie.

3 Fanfulla kl. gn. po Fitz Roland i Caraïbe.

2 Foulard og. gn. po Percym i Fête.

2 Annita kl. gn. po Percym i Evelinie.

2 Sara Bernard kl. gn. po Blue Gown i Sonnambuli.

2 Téo kl. kaszt. po Foscarim i Agnes Sorel.

2 Zulma-Bouffar kl. gn. po Foscarim i Caraïbe.

b) Stajnia w Chantilly

Trener Boldrick.

5 Dark blue og. gn. po Blue Gown i Sunbeam

— W dniu 21 Stycznia 1877 r. odbyły się wścigi kłusem w Peter-  
sburgu na Nowie.

Prix de la Société dla ogierów i klaczy zrodzonych w r. 1872, które  
dotąd jeszcze niebiegały.

(Wścig ten ustanowiony został na pamiątkę i w dowód uznania  
zasług hr. Orłowa Czesmeńskiego, który przed 100 laty założył stado  
klusowników.)

Nagroda pierwsza rs. 1915 druga 255. Właściciel stada, z którego  
zwycięzca w tym biegu pochodzi, otrzymuje puchar wartości rs. 350, ozdo-  
biony herbem hr. Orłowa Czesmeńskiego.



Bieg wiorst 3; koń który więcej jak raz jeden wpadnie w galop, wycofanym zostaje z obiegu.

Klacz szpakowata Nassedka, własność hr. Woroncowa przybyła do mety pierwsza w minut 5 i 48 sekund. Drugim był szpakowatw ogier Wołokita, własność p. Szilina.

Cztery inne zostały zdystansowane.

II *Prix de feu la Comtesse Saeremetiew* dla 5-0 i 6-0 letnich klaczy które nigdy niebiegały.

Zwycięzca otrzymuje przedmiot ozdobiony herbem hr. Szeremetiew wartości 250 rubli oraz 290 rubli gotówką, drugą nagrodę stanowi przedmiot wartości 50 rubli i 10 rubli ze stawek. Bieg wiorst 4. Koń, który więcej jak 5 razy wpadnie w galop, zostaje wycofanym z biegu. Klacz sk. gn. Bieda Wł. P. Warszawskiego, była pierwszą w m. 8, sekund 32.

III. *Prix de l'administration des haras*, dla ogierów i klaczy urodzonych w r. 1871, lub starszych. Nagrodę stanowi przedmiot wartości 150 rubli i 300 rubli w gotówce; stawkami dzielą się w połowie zwycięzca z wygrywającym drugą nagrodę. Bieg wiorst trzy.

Pierwszą nagrodę zdobył znany z przeszłorocznych wyścigów 8-mio letni ogier hr. Golowina który przybył do mety w min. 5 i 40 sek. Dwa inne konie zdystansowane zostały.

— Zapisy na wyścigi we Lwowie odbyć się mające w r. 1878, zamknięte zostały d. 31 Grudnia 1876 r.

*Sweep-Stakes*. Dla koni w Galicji w r. 1875 urodzonych. Bieg 1600 metrów, waga 56 kilogramów. Klacze nosią 1 1/2 kilogramów mniej wagi. Konie pół krwi 2 1/2 kilogr. mniej. Stawka 30 dukatów, przepadek 15 dukatów. Śmierć konia unieważnia zapis. Drugi koń wygrywa stawkę. Podpisów 5.

1. P. Kalikst Ochocki sk. gn. ogiera v. Złotolity po Perle i Weatherbit.

2. Baron Adam Heydel sk. gn. ogiera Elektor po Blinkhoolie i Lizzie Cowl.

3. P. Alfred Mysłowski gni. ogiera Young Blinkhoolie po Blinkhoolie i Curieuse.

4. Tegoż kl. gn. Revanche po Bucaneerze i Fleur de Marie.

5. P. Kazimierz Tuczyński og. gn. Problem po Verbum nobile i Przekazana.

Na także wyścigi we Lwowie w r. 1879.

*Sweep Stakes*. Dla koni w Galicji w r. 1876 urodzonych. Bieg 1600 metrów, waga 56 kilogramów. Klacze nosią 1 1/2 kilogr. mniej, półkwi konie 2 1/2 kil. mniej.

Stawka 30 dukatów, przepadek 15 dukatów. Śmierć konia unieważnia zapis. Drugi koń wygrywa stawkę, podpisów 6.

1. Hr. Jan Tarnowski z Chorzellowa, ogier kaszt. po Laueret i The Jewel.

2. Tegoż kl. gn. po The Charmer i Nicotine.

3. P. Kalikst Ochocki kl. kar. po v. Złotolitym i Palatine

4. Baron Adam Heydel og. g. Lohengrin po Justice, to Kisber i Dywidenda.

5. P. Alfred Mysłowski kl. kar. Ta Owa po Bucaneerze i To Ona.

6. Tegoż kl. gn. Mermaid po Bucaneerze i Witch.

Wyścigi we Lwowie 1880 r.

*Produce Stakes*. Dla koni urodzonych w Galicji w r. 1877. Bieg 1600 metrów. Waga 56 kilogr. klacze nosią 1 1/2 kil. mniej. Stawka 30 dukatów. Przepadek 15 dukatów. Meldunek przed 31 Grudnia 1876 r. kiedy i z jakim ogierem klacz stanowiąca była. Po urodzeniu źrebicią składa się dokładny opis tegoż i dane mu nazwisko.

Śmierć konia unieważnia zapis. Drugi koń wygrywa stawkę. Podpisów cztery.

1. Hr. Jan Tarnowski z Chorzellowa, zameldował Consternation przez Selodo.

2. Tenże Nicotine przez Selodo.

3. Baron Adam Heydel Dywidendę przez Marschall (porzuciła).

4. Tenże Trawiatę przez Reginalda.

**Hodowla koni.** *Przedświt w Piber.* Dowiadujemy się, że właściciele stad w Austrii wysyłają z różnych stron monarchii stad klacze pełnej krwi angielskiej do Piber, do powszechnie znanego ogiera Przedświta który w tym roku kilkanaście klaczy będzie stanowił. 14 klaczy już jest zapisanych, pomiędzy którymi 5 należących do hr. Oktawiana Kińskiego.

— *Stadnina książąt Sanguszków.* Stadnina konna, dziś nosząca imię stada ks. Sanguszków pochodzi od ks. Hieronima, ostatniego wojewody wołyńskiego, syna ks. Pawła Sanguszki, w. marszałka koronnego. Ponieważ ślady uszlachetnienia stada zaczynają się tylko od czasu zarządu tegoż ks. Hieronima, zatem tylko ta część historycznie nas obchodzić będzie, tembardziej że wszystkie poboczne gałęzie, że tak powiem kollektarne stada ks. Sanguszków, przepadły, nie zostawiając nic po sobie.

Stado ks. H. Sanguszki woj. wołyńskiego, znajdowało się nad Dnieprem w starostwie Czerkaskim, które było kilka wieków bez przerwy w rodzinie ks. Sanguszków i na Wołyniu w Chrestówce, w Tarnawce, w Polachowie, wsiach należących do klucza Białogrodzkiego, dóbr ks. Sanguszków, księstwa i powiatu Zasławskiego.

Skutkiem wypadków politycznych i naturalnego biegu pokoleń, jest ono dziś rozzerwane na dwie części, z której jedna została w tejsze samiej Chrestówce, jednak w rozmiarach stosunkowo bardzo ścięzionych; druga zaś przeniosła się do Satanowa nad Zbruczem na Podolu. Stajnie reprezentujące te dwie rozdzielone części dla zachowania pozorów dawniej łączności, są zawsze razem w Sławucie na Wołyniu, prócz stajni kursowej, którą utrzymuje tylko stado w Satanowie umieszczona, wspólnie z hr. Alfredem Potockim, w Antoninie na Wołyniu, majątku pochodzącym także z dawnego ks. Zasławskiego.

Stado dawne chrestowieckie byto potomstwem i odłamkiem dawnych

stad rodziny i założenia niemiał, bo pochodziło z czasów, w których ks. Sanguszkowie, jako z Litwy idący osiedli na Wołyniu i na Ukrainie.

Czasy wojownicze, w których Wołyń i Ukraina przeżyły parę wieków, sprzyjały rozwinięciu stadnin i stad, które prędko przed napadającym wrogiem w dalekie strony zapędzonymi być mogły. Przymtem wojna z ludami odznaczającymi się wychowaniem rassowych koni z Turkami, Tatarami i Czerkiesami, dawała zrzeczność mieć zawsze ogiery arabskie i wschodnie, dla licznych stad Wołynia i Podola, pasących się w najlepszych miejscach dla koni w Europie.

Prawdziwie więc można powiedzieć, że stado to założenia nie miało, i że przejścia historyczne kraju i rodziny ks. Sanguszków tłomczą wzrost jego i rasę w niem utrzymaną. Jest to jedyne stado w tych warunkach, gdy inne które wzrosły na Podolu i na Ukrainie. założycieli rzeczywiście miały i powstały w czasach, których pamięć żyjących jeszcze sięga, albo których początek dość świeżo opowiadania wykazać mogą.

Jedno więc stado chrestowieckie przetrwało parę wieków, równie i jednocześnie jak posiadłości ziemskie ks. Sanguszków i ich znaczenie wzrastały na tej ziemi.

Po śmierci ks. Pawła M. W. K., stado rozdzielone zostało przez synów.

Ordynackie stado ks. Ordynata starszego syna, nie mogło należeć do rozdziału i sładu po sobie nie zostawiło. Musiało iść koleją całej ordynacji i przepaść u wujów ks. Ordynata, u ks. Lubomirskich, a same stado Sanguszkowskie poszło działem pomiędzy trzech braci.

Gdy ks. Józef M. W. K. starszy z nich i jego syn Roman umarli, stado rozdzieliło się na dwie części: chrestowieckie i kłębowieckie czyli zasławskie. To ostatnie, po pół wieku chylenia się do upadku, znikło bez sładu około 1845 roku.

**Stadniny.** Jednym z największych stad koni na świecie jest stado w Mezohegyses w Węgrzech, które posiada 10,000 koni.

Konie ztąd pochodzące są bardzo zmyślne i pojętne, poszukiwane też są przez właścicieli cyrków.

Węgrzy są w ogóle wielkimi amatorami koni, doskonale jeżdżą konno i szczerze zajmują się hodowlą takowych. Ubiór węgierski do konia i przybór na konia wierzchowego celują praktycznością i elegancją.

Węgierskie konie są średniego wzrostu, ale za to są silne muskularne i szybkie.

Szlachta węgierska bardzo pielęgnuje rasę krajowych koni i dba niezmiernie o czystość i poprawność tychże.

Wyścigi na Węgrzech stanowią typ życia, zwyczajów i ducha tego narodu, który się we wszystkich wyróżnia od innych narodowości monarchią austriacką składających.

**Strzelanie do gołębi.** Grand prix du Casino, o nagrodę tę ofiarowaną przez Kassyno w Nicei ubiegało się 67 amatorów różnej narodowości. 1-a nagrodę stanowiły przedmiot artystycznie wyrobiony wartości 4,000 franków oraz 20,000 franków nagrody i 200 franków ze stawek. 2-a nagroda było 4,000 franków i 25% ze stawek. 3-a nagroda wynosiła 2,000 franków i 25% ze stawek i 4-a nareszcie 1,000 franków i 15% ze stawek. Strzelanie odbyło się pierwszego dnia do 5 gołębi na odległość 26 metrów; drugiego zaś dnia do 7 gołębi na odległość 27 metrów. Zwycięzcy dotąd niewiadomi.

**Miscelanea.** Do jednego z pierwszorzędných hoteli w Nicei co rok zajężdza cudzoziemiec, który za przybyciem swoim wywiesza zaraz za oknem kokardę atlasową koloru niebieskiego.

Kronika miejscowa utrzymuje, że ów hrabia otrzymał przed laty 10-ciu tę kokardę od zamaskowanego domina na balu kostiumowym w Petersburgu. Domino z którym hrabia wieczór ten spędził, żegnając się z nim, odezwało się w ten sposób: ofiaruję ci tę kokardę jako pamiątkę odemnie, a wszędzie, gdzie mieszkać będziesz, wywieszisz ją za oknem; być może że kiedyś, gdy wolną będę a zobaczę ten dowód stałości twej dla mnie, dam ci się poznać. Hrabia poprzysiągł czekać szczęśliwej tej chwili i wywiesza odtąd darowaną sobie kokardę za oknami mieszkań, które zajmuje; nawet gdy podróżuje koleją żelazną, kokarda na stacyach dróg żelaznych u drzwi wagonu wywieszana bywa.

Niezbyt dawno historia kokardy wypadkiem wyjaśniona została.

Pewna dama ostoięta gęstym woalem, trzymając niebieską atlasową kokardę w rękę, zapukała do mieszkania nieznanego hrabiego. Osłupiały w przekonaniu, że ma przed sobą ideał swych marzeń od lat dziesięciu oczekiwany, rzuca się do nóg przybyłej, i ze łkaniem ofiaruje jej życie... serce... i majątek; uszczęśliwiony przypomina bal kostiumowy z przed 10-u laty, ofiarowaną sobie kokardę i t. p.

— Ależ to za wiele naraz tego dobrego, była odpowiedź śmiejącej się do rozpuku cynicznej jejmości, która zrzucając woal z siebie rzekła: dosyć mi bądzie 25 ludorów, przysłałam cię bowiem o tę kwotę prosić, gdyż chciałabym się w ruletę odegrać.

Można wystawić sobie, jakie rozczarowanie spotkało zakochanego hrabiego.

— Pewien entrepreneur budowania domów w Paryżu, niechcąc być beczynnym w porze zimowej, podczas której budowanie domów ustaje, wpadł na myśl urządzenia wielkiego szklanego przyrządu, pod którym obstalowany dom stawia. Opancerzowane i zupełnie zamknięte oszklone rusztowanie które obejmuje cały plac na budowę przeznaczony stanowi ten przyrząd, a ogromny kaloryfer tymczasowo w piwnicach urządzone, daje ciepło robotnikom podczas mrozów i osusza wznoszącą się budowę.

Przyrząd ten ochrania prócz tego od nieznosnego kurzu przy każdej budowie domu zasypującego oczy przechodniom, a okna ruchome u góry, dają możność wpuszczania świeżego powietrza do wewnątrz budującego się domu. Użycie przyrządu tego, jako bardzo kosztownego, da się zastosować tylko do wielkich budowli, gdzie idzie o szybkość w wykończeniu i jaknajprędzej korzysci z włożonego w budowanie domu kapitału. Przy ulicy Choiseul w Paryżu przechodnie ciekawie przypatrują się funkcjonującemu już takiemu olbrzymiemu kłozowi i przyrząd ten otwiera kapitalistom pole do wkładania kapitałów w nowe budowle, prędko budujące się i procentujące.





Myślistwo.

## WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:  
 Rocznie . . . . . Rs. 10 kop. —  
 Półrocznie . . . . . „ 5 „ —  
 Kwartalnie . . . . . „ 2 „ 50

w Cesarstwie i na prowincyi:  
 Rocznie . . . . . Rs. 12  
 Półrocznie . . . . . „ 6  
 Kwartalnie . . . . . „ 3

**Cena numeru pojedynczego**  
**kop. 20.**